

Władysław Krajewski

Spotkanie z Ojcem Bocheńskim Wspomnienie pośmiertne

W lutym 1995 r. zmarł Józef Maria Bocheński, pięć miesięcy wcześniej – Karl Rajmund Popper. Łączę ich, gdyż obaj urodzili się w r. 1902 i przeżyli 92 lata. Osiągnęli więc piękny wiek, co jest tym bardziej godne uwagi, że do ostatnich swych dni byli w doskonałej kondycji umysłowej. A kojarzą mi się oni również dlatego, że obu spotkałem po raz pierwszy w sierpniu 1983 r. na Kongresie Logiki i Filozofii Nauki w Salzburgu. Jednym z bodźców zachęcających mnie do udziału w tym kongresie była właśnie perspektywa poznania dwóch, jak ich nazywałem, „wielkich starców” (mieli po 81 lat).

Nie rozczarowałem się. Okazali się jednakże zupełnie różni i właściwie moge powiedzieć, że naprawdę poznałem, w jakimś stopniu, tylko Ojca Bocheńskiego. Popper bowiem był nadzwyczaj małomówny. Przyjechał tylko na dzień swego referatu, zresztą bardzo interesującego. Chodził dostojnie. Po referacie natychmiast oddalił się, nie wykazując ochoty do rozmawiania z kimkolwiek. Tym, którzy chcieli z nim nawiązać kontakt, odpowiadał, idąc, półsłówkiem. Ja nie próbowałem z nim rozmawiać. Trochę tego żałuję, gdyż uważałem – i nadal uważam – Poppera za najwybitniejszego filozofa naszego stulecia.

Bocheński był zupełnie inny. Wyróżniał się już ubiorem. Był w sportowej koszulce z krótkimi rękawami. Ktoś postronny nigdy by nie odgadł, że jest księdzem i zakonnikiem, ani też, że jest znanym profesorem. A szybkie ruchy nie zdradzały jego wieku. W przeciwieństwie do Poppera, Bocheński był bardzo rozmowny i towarzyski. Przesiadywał godzinami w bufecie i rozmawiał z dziesiątkami, jeśli nie setkami ludzi w różnych językach. Łatwo przechodził od polskiego do niemieckiego, francuskiego, angielskiego, rosyjskiego, a pewnie znał jeszcze inne języki.

Pewnego dnia przysiedliśmy się do niego w polskiej grupie (m.in. Marek Bielecki, Jacek Urbaniec, Urszula Żegleń) i rozmowa toczyła się po polsku; przysłuchiwali się jej też niektórzy inni, rozumiejący trochę nasz język. Pytaliśmy o różne rzeczy, toteż Bocheński wypowiadał się na różne tematy. Przytoczę niektóre z tych wypowiedzi, które zapadły mi w pamięć.

Przed wyjazdem do Salzburga słyszałem od kogoś, że Ojciec Bocheński, który miał własny samolot i był zapalonym pilotem, został właśnie pozbawiony licencji pilota – zgodnie z przepisami, po ukończeniu przezeń 80 lat. Zagadnąłem go, mówiąc: „Podobno Ojcu odebrali licencję pilota”. Odparł, żywo gestykulując: „A, chcieli mi odebrać!”. Ale zażądał, by poddano go egzaminom (ostrość wzroku, szybkość refleksu), które wypadły pomyślnie, toteż licencję, w drodze wyjątku, przedłużono na rok. Kilka lat później słyszałem od kogoś, że gdy mu już licencję odebrano, kazał wmontować jeden z silników samolotu do samochodu, na którym mógł rozwijać niezwykłą szybkość. Pewien młody Polak, który jechał z nim po Szwajcarii i Austrii, opowiadał później, że Bocheński, prowadził samochód na autostradzie z taką szybkością, iż ów pasażer miał duszę na ramieniu: strzałka szybkościomierza dochodziła do 300 km/h. A Bocheński powiedział mu, że mógłby wyciągnąć i 400 km/h, ale z tego już rezygnuje. A miał wtedy 85 lat!

Wracam do rozmowy przy stoliku w bufecie. Mówiliśmy, rzecz jasna, sporo o filozofii. Bocheński – o czym wiedzieliśmy i przedtem – cenił wysoko Szkołę Lwowsko-Warszawską i był zwolennikiem filozofii analitycznej. Mówił o tym i w swoim referacie w Salzburgu, zauważając, że filozofowie nie lubiący analizy logicznej zwykle po prostu nie znają się na logice. Niechętnie odnosił się do takich kierunków, jak fenomenologia, egzystencjalizm, marksizm. Tego ostatniego zresztą nie potępiał bynajmniej w czambuł. Był wtedy rok 100-lecia od śmierci Marksa. W związku z tym zaczęliśmy mówić o jego filozofii i Bocheński stwierdził, że ceni jej „prometeizm”. A potem błysnął właściwym sobie dowcipem: „Oczywiście, historyczne prognozy Marksa nie sprawdziły się. Ale cóż, różne moje prognozy też się nie sprawdziły, a przecież nie minęło 100 lat od mojej śmierci”.

Gdy spytałem go, czy uznaje tomizm, zapytał „Jaki tomizm?”. Jak się okazało, był niechętny wobec tradycyjnego tomizmu, cenił zaś próby jego interpretacji w duchu analitycznym. Sam zresztą w młodości w Krakowie, jak wiadomo, próbował (wraz z ks. J. Salamuchą i F. Drewnowskim) stosować logikę symboliczną do interpretacji tomistycznej filozofii i teologii. Zauważę jeszcze, że do tej ostatniej odnosił się bez szczególnego nabożeństwa. Gdy wspomniał o swym współpracowniku Guido Kūngu, ja – nie orientując się wówczas, że jest dwóch Kūngów – zapytałem, czy to ten znany dysydent w kościele katolickim; odparł z lekceważącym ruchem ręki: „Nie, tamten to teolog”.

Byłem potem na wykładach Ojca Bocheńskiego w Warszawie, ale już nie miałem okazji z nim rozmawiać. Jednakże tamta rozmowa przy stoliku w bufecie wryła się w moją pamięć.